

Rozdział 3

SZAFA

Obserwowałem kota, który pił wodę z ustawionej na oknie miseczki. To okno wychodzące na południe. Kiedy jest dobra widoczność, można z niego obserwować Ślężę. Ale widoczności nie ma, przynajmniej tego poranka.

Dostrzegłem za to jakiś ruch w obejściu sąsiadów. W ramach nieustannych porządków, jakie rozpoczęły się na wsi (i niewątpliwie w miastach) — z pewnego dystansu przypominało to mityczne sprzątanie stajni Augiasza — sąsiad ładował na skonstruowaną przez siebie przyczepę rzeczy niepotrzebne w gospodarstwie. Mając jednak naturę wybitnie skrętną i pamiętając zapewne czasy, kiedy wszystkiego brakowało, wywoził te wszystkie niepotrzebne przedmioty na „górkę”. Owa „górką” była miejscem, gdzie miał jakiś zapodziany hektar przeliczeniowy gruntu, uprawniający go do korzystania ze wszystkich przysługujących rolnikom świadczeń.

Miejsce to znajdowało się rzeczywiście na górze, w masywie Kocich Gór, który rozciągał się nad wsią. Nad moją wsią, czyli wsią, w której mieszkałem już prawie dziesięć lat. Słowo „moją” pisałem ciągle z jakimś niedowierzaniem, jakby owa „mojość” nie była do końca prawomocna. Choć w czym miała być gorsza od „mojości” tych, którzy mieszkali tutaj zaledwie od 1945 roku?

Oczywiście i mnie również nie ominęły porządki podobne do tych, którymi zajmował się mój sąsiad z kieleckiego. Czas wielkiej reperacji nadszedł, kiedy ruszył remont budynku pozostawionego wcześniej

na kilkadziesiąt lat samemu sobie. Pozostawionego z bardzo wielu względów, wśród których ten ekonomiczny był chyba najistotniejszy, choć i ten mówiący o niepewnej przyszłości mieszkańców tych pozyskanych po wojnie ziem też miał swoje znaczenie. Ale ów argument w przypadku tej wsi był nieco naciągany, bo przybysze z kieleckiego nie zostali wygnani ze swoich gospodarstw, nie poddano ich przymusowym wysiedleniom, a zmienili miejsce zamieszkania z własnej woli, poszukując najzwyczajniej w świecie lepszych warunków do życia.

Tymczasem kot, zapragnawszy kontaktu z człowiekiem, wskoczył mi na kolana i swoim zwyczajem jął przebierać łapami po spodniach, czyniąc tym samym szkody w postaci wyciąganych z materiału nittek. Przebierał i przebierał, ja zaś — pozwalając mu na tę przyjemność — patrzyłem nadal na zapełniającą się powoli przyczepę sąsiada, której resory niebezpiecznie uginały się pod ciężarem niepotrzebno-potrzebnych rzeczy. Jak już się rzekło, ten amok porządków (bo tak należałoby nazwać stan, w którym sąsiad rzucał się co jakiś czas na swoje obejście) dotknął i mnie.

Sprowadzając się tutaj, do tej położonej na uboczu (choć podmiejskiej) wsi, po poprzednich właścicielach odziedziczyłem (co ładniej brzmi niż kupilem) nie tylko górną połowę domu — ze wspólnym z sąsiadami zaniedbanym strychem — ale również przylegającą do posesji dawną remizę. Trzymano w niej kiedyś prosiaki, a potem wypełniono to pomieszczenie po brzegi odpadami pozostałymi po jakimś remoncie mieszkania. Zalegały tam więc masywne ościeżnice najeżone ostrymi gwoździami o przekroju kwadrato-

wym, niepotrzebne drzwi bez klamek, okna z częściowo powybijanymi szybami, ścinki jakichś płyt, kawałki desek, styropianowe formy z ogromnych opakowań, ale i zniszczone narzędzia rolnicze, i dziurawe blaszane wiaderka, z których niegdyś zapewne poiono więzione tu świniaki.

Przed wszystkim przejąłem jednak ogromną stodołę. Drewnianą, zbudowaną już po wojnie, ale — co nietrudno było ocenić ze względu na widoczną od środka konstrukcję — zbudowaną rzetelnie, z całym przedwojennym jeszcze szykiem kształtowania drewnianej więźby. Cóż, gdy ten budynek, za który płaciłem słony podatek, tak samo jak ten poprzedni wypełniony był po brzegi kompletnie zbędnymi odpadami z gospodarstwa. Przynajmniej dla mnie zbędnymi, ponieważ, po jakimś niepojętym dla mieszczaucha recyklingu, zapewne można było te wszystkie ułomne cudenka przywrócić do używalności.

Mając to wszystko (ten arsenał niepotrzebności), cały czas czułem ciężar czekających mnie kiedyś porządków i — być może pod wpływem wspomnianej wielkiej odmiany, która zaczęła przeobrażać miasteczka i wsie — zakasałem pewnego dnia rękawy i zacząłem kolejno opróżniać pomieszczenia pozostające, ze względu na ich absolutne zatkanie, bezużytecznymi. Opróżniałem je z rzeczy, o których istnieniu nawet mi się nie śniło, bo pod warstwą przedmiotów widocznych tkwiły przedmioty niewidoczne, a pod nimi następne i następne.

Oprócz znalezisk zaświadczających o materialnej historii gospodarstwa, znajdowałem tu od czasu do czasu i bardziej wysublimowane dowody przeszłości, z których część się nawet przydawała. A były to dla

przykładu stare książki dotyczące zabiegów na polach i w sadach ilustrowane kunsztownymi rysunczkami wykonanymi piórkami. Kiedy jednak natrafiłem na całkiem jeszcze wyraźny plakat propagandowy, który przedstawiał między innymi głowę Lenina i podpisany został niegdysiejszym sloganem: „Naprzód do walki o plan sześcioletni”, musiałem się dobrze zastanowić, czy warto szperać w tym niewiarygodnym śmietniku historii. Plakat był naklejony na sztywną sklejkę, która leżała na klepisku stodoły obrazkiem w dół; dzięki czemu przetrwał.

Na głowie Lenina się nie skończyło, bo w dawnej obórce odkryłem fotografię Bolesława Bieruta oprawioną w elegancką ramkę i przykrytą szkłem. Twarz uderzająco podobnego doń pana Sowińskiego, wspomnianego wcześniej przyjaciela ojca, spojrzała na mnie zamyślonym wzrokiem znanym ze znaczków pocztowych, które zbierałem w dzieciństwie. W pierwszym impulsie postanowiłem usunąć wizerunek prezydenta, a ramę wykorzystać do innych celów niż eksponowanie głowy zniewolonego państwa. Gdy zacząłem się dobierać do konstrukcji oprawy, spod marnego papieru, na którym reprodukowano głowę Bieruta, wyjrzała inna twarz, twarz w pięknych kolorach, na błyszczącym kredowym papierze. Twarz dobrze znana, twarz wręcz symboliczna, twarz dumnej postaci w brunatnej koszuli z przepaską na ramieniu, ozdobioną wyrazistą swastyką.

Tak, pod Bierutem ukrywał się sam Adolf Hitler, co ciekawe, posiadacz identycznych wąsów jak wąsy prezydenta Bolesława, takich samych zresztą, jakie nosił pan Krzysztof Sowiński. Długo zastanawiałem się, co zrobić z portretami i w końcu wyjąłem

je z ramy (pod spodem nie było już nic, tylko zgrzebna płyta pilśniowa, a przecież mógłbym tam znaleźć dumne oblicze Bismarcka czy nawet Fryderyka II Wielkiego). Oczywiście te opisane znaleziska to zaledwie wierzchołek góry lodowej, a właściwie góry rupieci, której byłem szczęśliwym posiadaczem, choć posiadaczem biernym, bo uzyskałem je przecież w momencie kupna połowy domu i całości obejścia.

Moje porządki rozciągnęły się oczywiście nieco w czasie, bo trudniej jest dzisiaj wyrzucać niż odkładać. Wyrzucanie łączy się przede wszystkim z kosztami, nie mówiąc o otoczce logistycznej całej operacji. Ale działania trwały i pewnego dnia zabrałem się za porządkowanie strychu, gdzie moi sąsiedzi — nawet mimo wspólnego prawa do tego obszaru — wcale nie zagląдали. Trochę mnie to dziwiło, zważywszy na mentalność ludu wiejskiego, która kazała z brutalną wytrwałością egzekwować prawo własności. Biorąc jednak pod uwagę, że komfort inspekcji tej najwyższej kondygnacji budynku nie był najwyższy (ze względu na urzędujące tu praktycznie cały rok wróble i zalegające w tym miejscu materialne ekwiwalenty ich obecności), rzadko kiedy ktokolwiek tu się pojawiał.

Ja musiałem jednak od czasu do czasu tam zaglądać w celu niwelowania tworzących się pomiędzy starymi dachówkami luk, o których powiększanie dbały wspomniane wróble. Gdybym tego nie robił, deszczowa woda kapałaby mi z sufitu. Potykałem się wtedy o rzeczy, które i tam również składowano, a zatem o dwie leżące ogromne szafy (masywne jak słynne gdańskie meble) oraz całą masę drobiazgów, których przeznaczenia w większości nie potrafiłem nigdy dościec. Te rzeczy nawet nie wyglądały na trudne do usu-

nięcia ze strychu, ale stała obecność ptaków w tym miejscu sprawiała, że każdy, nawet najdrobniejszy przedmiot, był powiększony, no powiedzmy, pogrubiony przez ich zaschnięte odchody oblepiające go niczym szadz.

Niemniej w końcu przyszedł czas i na to miejsce. Byłem oczywiście przekonany, że prace trzeba rozpocząć od zadania najtrudniejszego: od usunięcia leżących szaf. Zacząłem od szafy mniejszej, którą z nie-małym trudem, używając skleconej na oczekaniu dźwigni, udało mi się odwrócić. Moment, gdy ogromne cielsko padło na drugą stronę, był drastyczny jak trzęsienie ziemi, a strop, drewniany strop poddasza, jęknął tak rozpaczliwie, jakby była to jego ostatnia chwila. Na szczęście stare belki wytrzymały. Teraz wystarczyło pokonać zamki i... szafę otworzyłem.

W środku zalegała sterta papierów i kilka metalowych pudeł. Dobrałem się do jednego z nich i wszystko stało się dla mnie jasne. To było archiwum mieszczącego się w tym budynku przez jakiś czas po wojnie ośrodka zdrowia; większość dokumentów stanowiły kartoteki pacjentów. Metalowe pudełka kryły natomiast różnej wielkości strzykawki, drewniane szpatułki, jakieś szczypce, waciki i tym podobne nieodzowne dla lekarzy i pielęgniarek pomoce i przyrządy, które bez zastanowienia umieściłem w kubie na śmieci. Poza formularzami przychodni znajdowało się tam nieco — już na pierwszy rzut przypadkowych — dokumentów tutejszego posterunku milicji.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zapakować papierzyska w zgrabne paczki i umieścić je w piwnicy, gdzie było miejsce na te rzeczy, które do niczego się nie nadawały, ale do wyrzucenia również. Układając

paczki, miałem dziwne przeświadczenie, że coś pomijam, że zanim okręciłem sznurkiem niesforne sterety dokumentów, mogłem poświęcić im nieco czasu i przestudiować zakłete w bezduszne raporty dzieje tej okolicy. Może kiedyś, w cudownym czasie, kiedy doprowadzę do porządku całe obejście i nic już nie będzie do wyrzucania czy odkładania...

Tymczasem na poddaszu zalegała jeszcze jedna szafa, zdecydowanie większa i o wiele cięższa od tej pierwszej. Nie miałem zamiaru jej przewracać, ponieważ tym razem stary strop mógłby tego nie przetrwać. Należało dobrać się do niej inaczej, a owo inaczej oznaczało zdemontowanie jej dna, po odsłonięciu którego miałem nadzieję dostać się do elementów scalających konstrukcję. O tym demontażu myślałem już od kilku dni i dzisiaj był ten ostateczny termin, który sobie wyznaczyłem. Niemniej, jak tylko mogłem, opóźniałem moment, kiedy wyruszę na górę. Czekałem na impuls do działania.

Impuls nastąpił. Pierwszy zareagował nań swoim jasnowidzeniem kot, pędząc pod wejściowe drzwi, w które dopiero po kilkunastu sekundach ktoś energicznie zapukał. Przyszedł listonosz z poleconymi listami i rachunkami.

Choć był to najzwyczajniejszy listonosz, którego dobrze znałem i którego mogłem się spodziewać, to w kontekście mojego oczekiwania nie był to całkiem zwyczajny listonosz, a wysłannik mojego losu w przebraniu listonosza. Zaraz bowiem gdy sobie poszedł, rzuciłem na stół przyniesione przez niego papiery, wyciągnąłem z brudów koszulę, w której wczoraj działałem w piwnicy, i ruszyłem po skrzypiących schodkach na strych.

Otwierając dwie kolejne przepony wiodące do tej podniebnej wędzarni, prowadzony byłem przez krążące wokół mnie wróble. Zaprawdę wyglądać musiałem niczym święty Franciszek, byłem bowiem w tak bliskiej komitywie z ptakami, iż czułem na policzkach muśnięcia ich skrzydeł. Na koniec tej fantastycznej podróży stanąłem pośrodku strychu. Ledwie oddychając powietrzem przesyconym pyłem, który wzniecały oszalałe ptaki, rozejrzałem się po półmrocznej przestrzeni.

Teraz należało wykonać zaplanowane czynności i jak najszybciej uciekać, aby nie narazić się na chorobę płuc, które zmuszone były absorbować zawieszoną zalegającą strych. Pochyliłem się więc nad zwalistym cielskiem drugiej szafy i zacząłem przyniesionym ze sobą młotkiem obijać jej twarde plecy. Czyniąc to, nie wiadomo właściwie dlaczego, miałem wrażenie, jakbym dobijał się do dębowej trumny. Jakbym zakłócał sen kogoś, kogo niepokoić nie należy, bo jest już po tej tamtej stronie.

Te wrażenia były jednak w moim przypadku na planie drugim, bo pierwszy plan zajmowała obsesyjna potrzeba poczynienia na strychu porządków, a ta szafa była symbolem bałaganu, z którym usiłowałem walczyć. Niemniej robiłem to z niejaką obawą. Szczególnie po tym, jak w tej mniejszej, wyglądającej na zdecydowanie młodszą, szafie znalazłem archiwum przychodni i kilka dokumentów mieszczącego się tu wcześniej posterunku milicji. Duża szafa, z którą teraz walczyłem, mogła pochodzić właśnie z tamtego, najwcześniejszego okresu. A przecież były to czasy, kiedy milicja nie przebierała w środkach, walcząc z przestępczością, ale przede wszystkim z bardziej lub mniej wyimaginowaną reakcją.

Deski tej szafy były grube i znacznie lepiej ze sobą spojone niż te, które sforsowałem kilka dni temu, ale walczyłem dzielnie, choć moją determinację cały czas osłabiały wątpliwości. Jedna wręcz nie dawała mi spokoju: dlaczego ta szafa leży tutaj kilkadziesiąt lat i nikomu nie przyszło do głowy, by ją odwrócić, otworzyć i po prostu porąbać i spalić w piecu? Szafy leżały nienaruszone, jakby właściciele domu, poprzedni i obecni, bali się ich, jakby stanowiły swoje tabu, obszar zakazany, trefny.

Strach i we mnie mieszkał. Ale nie był to strach przed czymś wyimaginowanym, lecz strach przed oszalałymi wróblami, które kołowały w swoim szaleńczym tańcu wokół mojej głowy. Zapewne były bardziej ode mnie przestraszone, bo w końcu to one są u siebie, a dla mnie to środowisko zdecydowanie obce; nie tylko ze względu na jego mieszkańców, ale przede wszystkim ze względu na temperaturę, jaka tu panuje. Czułem się jak we wnętrzu gigantycznego termosu. W związku z tym pot lał się ze mnie strumieniami na wyschniętą a twardą jak stal deskę tylnej ściany szafy leżącej bezwładnie niczym gigantyczny trup średniowiecznego rycerza.

W końcu podważyłem dno, chwyciłem je, z całych sił pociągnąłem i... struchlałem, ujrzałem bowiem złowieszczy szereg czaszek. Poukładanych równo, potwornie równo. Szafę wypełniał rząd podłużnych pojemników, które na swoich okrągłych obudowach posiadały wyobrażone wyjątkowo precyzyjnie i realistycznie trupie główki ze skrzyżowanymi piszczelami. Rząd pojemników z nakrętkami zamalowanymi niewróżącą nic dobrego czerwoną farbą.

Kiedy rzuciłem przerażonym okiem na napisy pod tymi złowieszczymi znakami, przeszedł mnie dreszcz. Nazwa Tabun i producent Anorgana GmbH nie pozostawiały wątpliwości co do tego, co znajdowało się w pojemnikach oznaczonych czaszkami. Szafa kryła jeden z najpaskudniejszych i najbardziej toksycznych gazów bojowych, jaki kiedykolwiek stworzono. Gaz przypadkowo otrzymany przez Gerharda Schradera, chemika z firmy Bayer. Może nie najbardziej toksyczny, a najprostszy, najoczywistszy, od którego zaczyna się każdy tajny program tworzenia broni chemicznej.

Wyglądało na to, że przez te wszystkie lata, kiedy tu mieszkałem, miałem nad głową gaz, który mógł zgładzić nie tylko mnie i moich sąsiadów, ale zapewne również całą wieś. Przeważony zacząłem ostrożne wycofywanie się ze strychu. Ze strychu, na którym wciąż stała szafa — jak ją przeważałem — gdańska, choć z Gdańskiem nie miała nic wspólnego. Ta szafa w jednej chwili zamieniła się z mebla w trumnę gotową pomieścić tysiące istnień. To był trup, o wiele bardziej trupi od zwykłego trupa, trup potencjalnej śmierci, śmierci w potwornych męczarniach. Broń chemiczna, beznadziejnie skuteczna, budząca grozę na samo brzmienie swojej nazwy.

Zamykając drzwi strychu, czułem się tak, jakbym zamykał drzwi cmentarnej kaplicy. Już jednak zbiegałem po schodach, już dopadałem telefonu, by zawiadomić odpowiednie służby. Książkę telefoniczną otworzyłem na chybił trafił na stronie, gdzie był numer telefonu pogotowia gazowego; uznałem to jednak za dowcip losu. Zadzwoiłem na policję i straż pożarną, a na konsekwencje tego wyboru nie musiałem długo czekać.